

---

# Kolonia letnia w Janowie (1892 r.)

---

Rocznik Mińsko-Mazowiecki 23, 205-207

---

2015

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Kolonia letnia w Janowie (1892 r.)<sup>1</sup>

Poprzednio już zaznajomiłem czytelników Głosu z dwiema grupami chłopców, wysłanych na kolonie letnie; teraz dzielę się z nimi spostrzeżeniami, uczynionymi nad dziewczętami z kolonii letniej w Janowie. Wieś ta leży przy trakcie z Nowomińska do Kałuszyna. W ciągu trzech sezonów, po cztery tygodnie każdy, przebywa tu 60 dziewcząt. Dom, niegdyś zajęty pod karcznię, a dziś oddany na użytek kolonii, stoi nieopodal szosy, blisko lasu sosnowego i składa się z trzech izb, jedna stanowi kuchnię, mniejsza mieszkanie dozorczyńni i skład prowiantu, ostatnia zaś, największa – sypialnię 21 dziewcząt. Rozmiary tej izby są dość szczupłe w stosunku do ilości mieszczących się w niej osób, i dlatego między łózkami nie ma wolnych przejść. Przed domem od strony szosy, stoi stół do jedzenia, niczem od deszczu i słońca nieosłonięty.

Miejscowość niska, sapowata, las niezbyt suchy; we wsi i okolicy nie ma kąpieli, a potrzebną do gotowania i mycia się wodę przywożą beczkami. Dla braku bieżącej wody, dzieci przez czas pobytu nie kąpią się wcale. Właścicielka Janowa oddaje bezinteresownie do użytku kolonii: dom, drzewo i dostarcza wody. Dozorczyńni jednocześnie zajmuje się częścią gospodarczą, którą oddaną ma w przedsiębiorstwo. Koszta utrzymania dzieci ponosi instytucja (?).

Większość dziewczynek z wejrzenia dość zdrowo wygląda. Wszedłszy do lasu, podobno na sosnach starały się dojrzeć owoców. Są to dzieci przeważnie klasy wyrobniczej, z których dwie nie mają zupełnie rodziców i wychowują się u krewnych. A trzy zaś przy życiu mają tylko matki. Jedna jest córką niezjącego prywatnego oficjalisty, chodziła na pensję do II klasy, którą opuściła dla braku zdolności i teraz ją „ciocia kształci w muzyce”. Tej pobyt na wsi nie podoba się i chciałaby jak najprędzej powrócić do Warszawy. Trzy chodzą do szwalni; zaś pozostałe uczęszczały do ochrony, do której ze względu na wiek wyższy nad przepisane lat siedem, już nie powrócą. Twarze większości wyrażają inteligencję. Nieśmiałość wobec pierwszy raz widzianej osoby płci odmiennej szybko znika i zamienia się w kokieterię, nie nazbyt zresztą rażącą. Posiadające ładniejsze suknie, starają się wyróżnić spośród biedniejszych od siebie i wydzielić koteryję; biedniejsze zaś spoglądają na nie z zawiścią i ironicznie zwą je „hrabinami”. (między chłopcami powodem wyróżnienia bywa nie ubranie, lecz stanowisko społeczne ojca i umysłowość osobnika). Do okazywania swych sympatyj łatwiejsze są niż chłopcy. Przy zaszytych waśniach używają wyrazów nieprzyzwoitych. Posiadające w domu względny dobrobyt tęsknią więcej za domem niż te, które go nie mają. Pośród 60 nie zdarzył się ani jeden przypadek kradzieży. Z danych, jakie

<sup>1</sup> Przedruk: *Z kolonij letnich*, „Głos”, nr 39 (1892), s. 460-461. Do druku podała Redakcja.

posiadam przeszło o 100 chłopcach, kradzieże również nie miały miejsca, i dlatego wnosić można, że dzieci te, po większej części przez naturę tylko wychowywane w zasadach moralności, nie są skłonne do kradzieży, skoro ich pragnienia są na teraz zaspokojone, gdy tymczasem, z zebranych danych w pensjonatach, pośród dzieci rodziców zamożnych, wnoszę, że wypadki skłonności do kradzieży nie należą do rzadkich, zwłaszcza pomiędzy chłopcami.

Dzieci, pozostające na wychowaniu u rodziców lub krewnych, trudniących się posługami, wyglądają pełniej i w jedzeniu są więcej wybredne od tych, których rodzice trudnią się wyrobkiem. Pochodzi to stąd, że pierwsze otrzymują nieraz w domu resztki pańskich obiadów.

Trzecia część wykazała chęć uczenia się, „aby umieć więcej, a potem więcej zarabiać”. Niektóre dość dobrze deklamują, dopełniając deklamację odpowiednią minką. Jedna z dziewczynek, 12-letnia Zuzia, bardzo sympatycznej powierzchowności, dopomaga dozorczyńni w jej czynnościach i posiada dar zabawiania swych towarzyszek, za co przez wszystkie jest bardzo lubiana. Matka, wdowa, dla braku funduszy nie może jej trzymać w domu i pragnie ją umieścić w jakim sklepie; inna znów, 10-letnia, zarabia w cyrku, po 15 kopiejek za występ. Niektóre jadają u rodziców tylko po dwa razy dziennie, „a jak mi się chce jeść i płaczę, to mamusia da mi klapsa i każe być cicho”.

Po obiedzie na dane przez dozorczynię hasło, dziewczątka muszą z możliwie największą szybkością obiedz trzy razy dokoła domu, poczem dopiero oddają się zabawom w *cerceau*, piłkę lub grę w loteryjkę na cukierki. Z dozorczynią zwiedziły Kałuszyn, który się im bardzo podobał, „tylko dużo w nim żydów”. Jedenastego zaś bieżącego miesiąca były w Nowomińsku, gdzie zwiedziły kościół i park, poczem przez właściciela tegoż, p. Dernałowicza, zostały ugoszczone podwieczorkiem, jedna z pań, zamieszkujących liczne tu wille obdarzyła je czterema tuzinami chustek do nosa; a księgarz p. Wolff na kupno potrzebującym bielizny złożył 3 rs., które wraz z jednym rublem, ofiarowanym przez nieznaną osobę, oddano do dyspozycji dozorczyńni.

Koncentrowanie w jednej osobie obowiązków dozorczyńni i zarządzającej częścią gospodarczą nie wydaje mi się korzystne dla dzieci ze względu, że dozór części gospodarczej, prowadzenie rachunków i wydalanie się peryodyczne po zakupy prowiantów, absorbuje wiele czasu i z konieczności osobę tę odrywa od obowiązków dozorczyńni; przez to traci się sposobność oddziaływania na dzieci i poskramiania w nich złych skłonności.

Obowiązki dozorczyńni należą do nadzwyczaj trudnych, ze względu choćby na różnorodność pojęć etycznych, nawyknień i wieku dzieci, które w przeciągu czterech tygodni trzeba przystosować do przyjętego na koloniach regulaminu, bez używania kar cielesnych. Dlatego też łatwiej o członka komitetu, zwłaszcza jeśli jego udział w komitecie ogranicza się li tylko na zawiązaniu nazwiska w pismach z pracami dra Markiewicza, niż o stosownego dozorcę lub dozorczynię, którzyby z takim zbiorowiskiem dzieci bezustannie obcowali, obserwowali skłonności każdego z nich, i jeśli się w którym okazały złe, nie tylko nie pozwolili oddziaływać na inne, ale je

w danym osobniku starali się tłumić. Potrzeba również bezustannie baczyć, aby sobie wzajemnie bodajby przez lekkomyślność nie wyrządzały krzywd. Dlatego też byłbym za tem, aby dozorcą nie dawać oddzielnych pomieszczeń, gdyż tym sposobem daje im się możność poświęcania sobie czasu, który się dzieciom należy, a także wymagać, aby dozoruące osoby spały w jednym z dziećmi pokoju, a to dla większej sposobności kontrolowania czynności dzieci nawet w nocy. Gdym sam niegdyś pełnił obowiązki dozorczy, zdarzyło się, leżąc na łóżku, niepostrzeżenie obserwowałem chłopców i przytem spostrzegłem, że niektórzy oddawali się masturbacji; a niejednokrotnie dało mi się słyszeć prowadzone szeptem rozmowy, za których treść zmuszony ich byłem potem monitować. Oddawanie w przedsiębiorstwo żywienia dzieci zarówno dla dzieci, jak i instytucji jest niekorzystnym, lecz przy dzisiejszym rozdrabnianiu partyj dzieci, ze względu na brak obszerniejszego pomieszczenia, system ten jest nieuniknionym. Choć wiele miejscowości, w których dotychczas urządzane są kolonije, nie odpowiada wymaganiom, jednakże ze względu na to, iż pomieszczenia w nich udzielane są bezinteresowne, a komitet rozporządza skromnymi, w stosunku do potrzeb, funduszami, zmuszoną z nich jest instytucja korzystać. Aby kolonie letnie stały się takimi, jakimi być powinny i chciał je mieć ich główny kierownik dr Markiewicz, muszą koniecznie posiadać stałe źródło dochodów, a nie jak dotychczas opierać byt swój na uczuciach, które w ludziach ulegają częstej fluktuacji. Czyżby w społeczeństwie, które wydaje setki tysięcy rubli na wychowanie okazów rzadkich roślin, służących nie ku pożytkowi, lecz upiększeniu, a także na ulepszenie ras koni bezużytecznych, nie znaleźli się tacy, dla których by przyszłość społeczeństwa była droższą?

W roku bieżącym upływa 10 lat od czasu powstania instytucji kolonij letnich, a przebiegając sprawozdania coroczne przekonywamy się, że rozwój swój zawdzięczają ofiarom drobnym, a pośród nich nie ma ani jednego zapisu, któryby na długo zabezpieczył trwałość instytucji, choćby w małym zakresie. Dopóki instytucja ta nie posiada stałych funduszy – dopóty połowicznie tylko będzie mogła spełniać swe zadanie, a trwałość jej – zależna od dobrych chęci jednostek, której kiedyś może zabraknie, boć w społeczeństwie naszym niewiele się znajdzie takich jak dr Markiewicz i ś.p. p. Fritsche, którzyby z narażeniem własnej rodziny na niedostatek oddali się bezinteresownej i tak wielkiej pracy dla dobra ogółu.